



lupę kryterium „ekologicznej żywności”. Nielegalnie wkłada się na wielką kurzą farmę, gdzie przekonuje się na własne oczy, że hodowane tam kury są niemal pozbawione dziobów, gdyż okalecza się je, by nie dziobały sąsiadów. Mimo to często bywa i tak, że zdezorientowane, wegetujące w niewyobrażalnym ścisisku ptaki kikutama dziobów wyciągają jeden drugiemu wnętrzności przez odbyty. Kura umie liczyć do stu. Od stu kur wzwyż hierarchia dziobania ulega kompletnemu zaburzeniu i ptak zaczyna dziobać na oślep, bo każdy sąsiad jest dla niego obcym. Człowiekowi o przeciętnej wrażliwości robi się podczas takiej lektury co najmniej nieswojo. I nie ulega wątpliwości, że bez znajomości tych drastycznych szczegółów śpi się spokojnie. Ale to wiedza, do jakiej mamy prawo, nie tylko jako konsumenci.

Te relacje, często wstrząsające, prowokujące do zastanowienia się, jak mogliśmy pozwolić sobie na to posunięte do granic arogancji rozporządzanie życiem innych istot, przeplatają się z dialogami, które autorka prowadzi na temat od-

żywiania się z rodziną i znajomymi. Odporna na wszelkie argumenty na rzecz wegetarianizmu okazuje się głównie rodzina. Mama autorki, na wieść, że córka nie je mięsa, pyta na wszelki wypadek: „Ale kurczaka też nie?”

Równi i równiejsi czyli horror konsekwencji

I Foer, i Duve są przekonani, że wegetarianizm może pomóc w rozwiązaniu wielu gnębiących ludzkość problemów, jak chociażby globalny głód. Ale nie kryją się i z tym, że występują z pozycji nie tylko utylitarnych, ale i moralnych, które zabraniają im krzywdzenia innych istot w imię krótkotrwałej przyjemności. Stają tym samym w obronie tej tradycji etycznej, która uznaje, że normy moralne nie powinny odnosić się jedynie do ludzi, lecz do wszystkich stworzeń zdolnych odczuwać cierpienie.

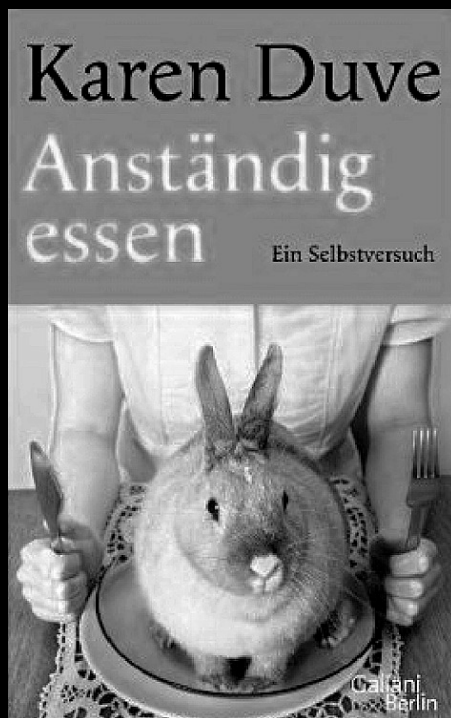
Oczywiście to wszystko nie jest takie proste. Gdy człowiek raz podejmie decyzję, że nie chce krzywdzić zwierząt, zaczyna w sposób nieunikniony wikłać się w coraz to nowe sprzeczności. To istny horror imperatywu konsekwencji, chwilami tragikomiczny. Duve też się miotła. Czy wolno mi wybić mrówki w spiżarni? Albo wredne muchy, które gryzą mojego ukochanego konia? Czy raczej lepiej zebrać je do plastikowego worka i wypuścić gdzieś w lesie? Tylko po co – żeby zatruwały życie innym stworzeniom? Czy odbieranie potomstwa mlecznym krowom jest już bestialstwem czy

jeszcze nie? I czy na pewno muszę pozbyć się ulubionych kozaków z miękkiej skórki? Niby zabawne, ale na pewno niejednen z nas zadawał sobie pytanie, czy trzymany w bloku owczarek podhalański aby na pewno marzył o takim właśnie losie. Bardzo wszak prawdopodobne, że wołałby hasać po poloninach. Jeśli rzeczywiście wychodzimy z założenia, że wśród nas, zwierząt, nie ma podziału na równych i równiejszych, pytanie o owczarka niczym nie różni się od pytań, które dręczą autorkę *Jeść przyzwocie*.

Przypomina się słynna scena z dzienników Gombrowicza: podczas spaceru po plaży Gombrowicz dostrzega, że na piasku leży kilka podwracanych na plecy żuków. Najwyraźniej nie mogą odwrócić się o własnych siłach, dlatego zaczyna je odwracać sam. W pewnej chwili dostrzega, że cała plaża, jak okiem się-

gnąć, wyścielona jest żukami, które bezradnie gmerają kończynami w powietrzu. Pochyla się więc i ratuje jeszcze jednego żuka. I jeszcze jednego, i jeszcze

[kk]



* Tytuł oryg. *Eating animals*, tłum. Brigitte Jakobeit, Isabel Bogdan, Ingo Herzke.